Rok I. Nr. 1.

ŚWIATŁO

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.

Wychodzi w Krakowie, pod redakcyą dra Feliksa Konecznego.

Adres: ulica Wolska 21.

Prenumerata wynosi 1 złr. kwartalnie.

Cena numeru 25 ct.

KRAKÓW.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1897.

Rocznik I. Kraków, dnia 1. stycznia 1897. Nr. 1.

Prenumerata wynosi: kwartalnie w Austryi 1 złr., w Niemczech 1½ m., w innych krajach 3 fr.

ŚWIATŁO
DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.
WYDANIE KRAKOWSKIE.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Dr. Feliks Koneczny, Kraków, ulica Wolska 21.



HOŁD ASNYKOWI.

„Szczęśliwy, komu w życiu dano doczekać się plonów swej pracy“.

Po r. 1863 kozłem ofiarnym miała się stać poezya. Za niewłaściwe pojmowanie swej istoty ze strony czytelników, słowem, za brak wykształcenia formalnego w społeczeństwie, miała być skazaną jako rodzicielka wartogłowstwa! I nie było na razie nikogo, ktoby się spostrzegł, że do pełnego rozumu i ona stanowczo także należy. Samo zajmowanie się poezyą uchodziło za osłabianie społeczeństwa; nie było na razie ani estetyków, ani polityków, i ci i tamci później dopiero nastali.

Gotowi byliśmy zarzec się poezyi; groziła nam wielka barbarya, stanowcze obniżenie cywilizacyjnego poziomu. Gdyby wówczas nie był się zjawił talent wybitny na tyle, żeby przeciw prądowi płynąć i przepłynąć, mogła była się zabagnić jedna z zasadniczych części umysłowości narodu. Na szczęście, znalazł się umysł prawdziwie natchniony, poszedł przebojem i — wygrał! Był nim Adam Asnyk.

Gdyby dziś, po Asnyku, nie było przez jakiś czas lepszych poetów, byłaby przykra luka, ale nie upadek geniuszu narodowego; są już sztuki plastyczne i muzyka. Ale wówczas! wszak po Chopinie nie została szkoła, ale tylko po Słowackim; tylko poezya miała tradycyę, a i tę chciano przerwać świadomie. Możebyśmy byli nawykli obchodzić się bez poezyi, i choćby później powstali więksi poeci, byliby po za społeczeństwem. Asnyk zjawił się w sam raz, żeby jeszcze bezpośrednio zaważyć na szali.



Szczęśliwy, ogląda dziś nieuszczuplony dla poezyi szacunek. Był powołany na jej obrońcę i nietylko ją ocalił, ale sam jeszcze widzi, że społeczeństwo chętnie się ku niej garnie, ilekroć ją znajdzie prawdziwą. Niema też już obawy o pomięszanie polityki z poezyą; młodsze zwłaszcza pokolenie byłoby wprost niezdolne do takiego *qui pro quo*. Wyjaśniły się pojęcia!

W poprzednim ich zamęcie były różne przykre chwile; całemu, niestety, pokoleniu utrudniły życie tak, że rezultat pracy nie odpowiada ani przez pół ilości wysiłków. Poeta znalazł się w środku tego wiru, ale lirę utrzymał.

Przyszłe pokolenie będzie uważać za błahostkę wiele z tego, co nas roznamiętniało, a niejedno, co dla nas miało pozory ważności, nie wyda mu się nawet godnem bliższego zbadania. Ze słów Asnyka pozostaną jednak jego pieśni, a historya stwierdzi, że on wyniósł na swych barkach poezyę z najcięższego pogromu i za to wdzięczne mu będą pokolenia całe. Więc wdzięczność mu za to, żeśmy pod tym względem nie okaleczeli, hołd za to, że w jałowych czasach był solą tej ziemi!



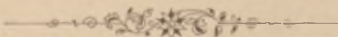
„Światło“ jest dwutygodnikiem illustrowanym, wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca;

objętość zeszytu przynajmniej 16 stronnic, oprócz dodatku powieściowego.

Kosztuje kwartalnie, wraz z przesyłką pocztową:

1 złr. = 1 m. 50 fen. = 3 franki.

Wydawca i redaktor: **Dr. Feliks Koneczny** w Krakowie, ulica Wolska 21.



Program „Światła“.



Sprawa założenia w Galicyi pisma obrazkowego, bywała już omawianą tylekrotnie! dawały się słyszeć głosy, że powinno to być punktem honoru prowincyi, żeby utrzymać takie wydawnictwo, a gdy rozmaite próby zawodziły, wysnuwano z tego wnioski nie bardzo zaszczytne dla intelligencyi mieszkańców tego działu porozbiorowej Polski. Czy słusznie? Czyż nie popełniano przytem owego zwyczajnego, niestety, u nas błędu, że budowę zaczynano od dachu? Chciano odrazu zrównać się z wielkiemi illustracyami Paryża i Londynu, zamiast zaczynać skromnie, a zato liczyć na większą ilość czytelników. Pismo obrazkowe z wielkiemi pretensyami artystycznemi, musi być kosztowne; na to niema rady; koło jego odbiorców stosunkowo szczupłe, musiałoby w naszych stosunkach, obfitować w ludzi pełnych zamiłowania do rzeczy i gotowych płacić dla samej zasady: utrzymania pisma. O tem u nas nie może być mowy. Prenumerowanie illustracyi nie stało się jeszcze wcale p o t r z e b ą polskiego domu, ani w Galicyi, ani w Wielkopolsce. Szkoda — boć czem więcej się odczuwa cywilizacyjnych potrzeb, tem lepiej.

Co prawda, nie robiono prawie nic, żeby rozbudzić zamiłowanie w tym kierunku. Pisma illustrowane redagowano w ten sposób, że nie mogły one być przystępnemi dla szerszej publiczności. Ograniczanie się do warstwy zwanej pochlebczo „śmietanką społeczeństwa“, nie jest wcale a wcale środkiem do — oddziałania na społeczeństwo. Na takiej wąskiej podstawie można czasem coś zdziałać w narodach potężnych i zasobnych, ale u nas? Jedyna na to odpowiedź w słowach: nigdy nic! W narodzie podbitym poziom cywilizacyjny podnosić się musi o d d o ł u. Zastosowując to ogólne prawidło do drobnej stosunkowo naszej sprawy, doszliśmy do przekonania, że u nas założyć trzeba pismo illustrowane najpierw takie, któreby mogło liczyć na jak najszerszą publiczność. Wskazówką tu najlepszą ten fakt, że bardzo wiele osób prenumeruje popularne illustracye niemieckie; rozumie się samo przez się, że czyni to tylko dla braku stosownego pisma polskiego. Mówiąc „stosownego“, rozumiemy przedewszystkiem, żeby ono było stosownie t a n i e.

Rozszerzenie niemieckich popularnych illustracyj w Galicyi, jest oczywiście wstydem dla nas; pod tym względem dwóch zdań być nie może. Jestto jednak nadto jeszcze szkodliwem pod jednym względem. Oto wszystkie te popularne wydawnictwa niemieckie są poprostu li tylko artykułem handlu literackiego: niema wśród nich ani jednego, któreby miało jakiś cel wyższy, jakiś program, jakąkolwiek wogóle dążność inną, oprócz zbierania prenumeraty; są to bowiem same zwyczajne „geschäfty“ i nic więcej. Przykro wyznać, że ten sposób wydawania pism oddziałał już poniekąd na naszą publiczność i rozpowszechniło się przekonanie, że pismo illustrowane powinno być bezbarwne i służyć tylko do zabicia czasu. Nic wygodniejszego dla spekulacyi wydawniczej! byle mieć „interesującą“ powieść, resztę tekstu zbywa się byle czem, illustracye daje się bez planu, jakie przygodnie się nawiną — a byle był szych strony zewnętrznej —

pismo gotowe! Nikogo ono ani nie ziębi, ani nie parzy; kto go nie czyta, nic nie stracił; kto czyta, nic nie zyskał, ale dla zabicia czasu znajdzie się zawsze odpowiednia ilość abonentów. Nie trzeba ich wielu, bo koszta pisma takiego nieznaczne: kosztuje tylko powieść i czasem jaka lepsza klisza; reklama zaś zbierze tylu prenumeratorów, że zysk będzie nawet bardzo znaczny, stosunkowo do malutkiej ilości pracy uwięzionej w wydawnictwie.

Nie mamy wcale zamiaru zakładać nowego pisma według tej modły; szkodaby fatygi na to, co potrafi (nawet pewnie lepiej) bylejaki spekulant. Nie zamierzamy rywalizować z nikim w otaczaniu pisma szychem na zewnątrz, ale też za to rezygnujemy najzupełniej z przywileju — czczości wewnętrznej i wszelkiej „nijakości“ treści.

Pismo illustrowane, traktowane na seryo, po obywatelsku, może zdziałać bardzo wiele; ono jest wskazane na naturalny pomost pomiędzy belletrystyką a lekturą poważną, pomiędzy książką zabawną a pouczającą, a redagowane w tej myśli, ma przed sobą piękne pole działania, któremu nie żal poświęcić sił i pracy. Łączyć przyjemne z pożytecznem, to tedy nasza metoda!

Uznajemy w zupełności wymaganie, żeby każdy numer pisma był do czytania przyjemnym, żeby nie nużył, ani nie nudził, żeby nawet poniekąd bawił — ale czyż zabawa musi być bezmyślną? Czyż czytelnik nie powinien wymagać od redaktora, żeby starał się dostarczyć mu rozrywki godnej człowieka myślącego, żeby go nie traktował jak stare dziecko, które się zbywa byle czem, pozłacanemi orzeszkami literackiej tandety? Doszliśmy do tego, że „popularny“ zacznie znaczyć może tyle, co „ladajaki!“

A właśnie popularne pismo powinno się odznaczać doborem treści i powinno mieć program, co popularyzować zamierza.

Intelligencya szerzyć się winna od uczonych i z ich badań naukowych rozchodzić się szerokiem światłem po kraju. Jakżeż my od tego dalecy! Nasz świat uczony do lasa, a publiczność do sasa, — czy jest jaka spójnia, jakie porozumiewanie się? Czy uczeni troszczą się o to, żeby owoce ich badań przeszły do wiadomości ogółu i stały się ożywczym sokiem w społecznym organizmie? Rozkwita wspaniale polska nauka i niesie niejedną korzyść międzynarodowemu pościgowi za prawdą; to bardzo dobrze. Ale niechże ona przynosi też korzyść swoim rodakom, a będzie jeszcze lepiej. O tryumfach polskiej nauki publiczność polska prawie zgoła nic nie wie, a co gorsza! w różnych zapatrywaniach, wywodzących się bądźcobądź od naukowych poglądów, miewa coraz częściej zdanie odmienne, ponieważ przestarzałe. Bo też nasz świat naukowy jest czy to ponad, czy poza społeczeństwem, zamiast znajdować się wśród niego; toteż, jak dotychczas, ogół niema żadnych korzyści z rozkwitu polskiej nauki.

Celem „Światła“ będzie: stanowić łącznik polskich uczonych z polską publicznością; to pierwszy, a zasadniczy, punkt naszego programu. W szeregu starannie i dokładnie opracowanych artykułów, dostarczymy informacyi, jak wobec wielkiego postępu nauk, przedstawiają się różne kwestye, obchodzące żywo szerokie warstwy, a zwłaszcza te, które mają bliższy związek z życiem publicznem. Przez „popularne pisanie“ nie rozumiemy przytem bynajmniej obniżania danej kwestyi lub obcinania jej, ale poprostu, żeby opisać treściwie a przystępnie to samo (zupełnie to samo), co opisane jest w szeregu dzieł specyalnych w sposób nawet dla samych uczonych nie zawsze zrozumiały. Popularyzować, nie znaczy bowiem dla nas: psuć i kaleczyć, przekręcać i tendencyjnie zmieniać, lecz ogólne wyniki naukowe, nie zmienione, wyrazić sposobem zrozumialszym i to koniecznie w sposób zajmujący. Nie chcemy czytelników przemieniać na ludzi uczonych, ale uczonych radzibyśmy zbliżyć do tych, przed którymi kazano im nieść „kaganiec oświaty“. Nie zamyślamy robić ze „Światła“ jakiejś sali szkolnej, ale chcemy uczynić je bawialnią, w której zebrani goście nie o samych tylko fatałaszkach mówią. Jest złota pośrednia droga między pedantyzmem a trzpiotowatością, i między ciężką uczonością a brakiem wiedzy, i tej drogi trzymać się będziemy, pamiętając zawsze, że czytelnik znużony pracą i kłopotami, może sięgnąć do naszego pisma tylko w chwilach wytchnienia, których nie godzi mu się obciążać szkolarskim balastem. Wybierać też będziemy do naszych pogadanek zawsze te tylko kwestye, które publiczność naprawdę interesują.

Drugim punktem naszego programu będzie: dopomóc polskiemu czytelnikowi do poznania Polski. Uderzmyż się w piersi, że rozbiory doprowadziły już do tego, że o własnym kraju bardzo niedokładne mamy pojęcie; znamy od biedy kawałek własnej prowincyi, a reszta Polski zaczyna być doprawdy dla nas samych „za granicą“. Coraz rzadziej odszuka kto na mapie Żytomierz, Pińsk, Pelplin lub Bytom! Cóż dopiero mówić o znajomości warunków różnych stron Polski? Dalecy od urządzania kursu geografii polskiej, znajdziemy jednak dosyć sposobności, żeby w rozmaitych ciekawych artykułach przypominać, gdzie Polski granice, jaki jej stan i potrzeby. Może nam się powiedzie przyzwyczaić choćby drobną garstkę czytelników do tego, żeby debatując o sprawach polskich, nie robili tego „w powietrzu“, pozwalając bujać fantazyi i teoryom, ale żeby pamiętali o konkretnym obrazie kraju. Kto go nie zna, ten w sprawach polskich nie powinien zabierać głosu.

Przedewszystkiem jednak pragnęlibyśmy dopomóc naszej intelligencyi do poznania — ludu polskiego. Chociażby pismo nie dawało ani grosza dochodu, będziemy zadowoleni, jeżeli się nam uda przekonać t. z. warstwy wyższe, że nasz lud jest potężnym materyałem na wielki naród; bylibyśmy zaś szczęśliwi, gdyby się nam powiodło rzucić pomost pomiędzy ruchem ludowym a innemi kierunkami narodowej pracy. Wyrazem zapatrywań „Światła" na tę sprawę jest broszura Dra Feliksa Konecznego: „Głos w sprawie ludowej"; w piśmie jednakowoż naszem wykluczoną jest polityka w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. Toteż zamierzamy dotykać takich tylko spraw, które są ponad polityczną waśnią chwili, tych, które zawsze, bo same przez się, muszą mieć znaczenie, bez względu na przygodne stosunki stronnictw. Nie będziemy przeto szermierzyć w imię żadnego stronnictwa, poprzestaniemy na informowaniu o materyale, który one mają przed sobą. Polityczna strona ruchu ludowego nie nas tedy tutaj nie obchodzi; wypełnimy jednak dotkliwą zaiste lukę, gdy się zajmiemy cywilizacyjną stroną tego ruchu. Mamy zaś, dzięki Bogu, tyle już oznak podnoszenia się poziomu cywilizacyi polskiego włościaństwa, że prawdopodobnie nie przejdzie żaden numer, w którymby nie dało się zwrócić na coś uwagi. Podnosząc zalety tego ludu, nie chcemy zamykać oczu na jego wady; jeżeli bowiem pochlebstwo jest grzechem w życiu prywatnem, w publicznem jest oczywistą zbrodnią. Zakres tego działu pisma obejmuje lud nietylko Galicyi, ale całej Polski.



TYP ZE SKALITEGO.

Najwięcej informacyj wymaga to, co na razie najważniejsze, a nie bardzo znane: obok sprawy ludowej jest tu sprawa ślązka. Dzięki pozawiązywanym w tym celu stosunkom, będziemy mogli dostarczać pewnych wiadomości. Mamy też niepłonną nadzieję, że pouczenie, zwłaszcza o Górnym Ślązku, będzie mile witanym dowodem tego, co to lud polski może! Stosunki śląskie będą stanowić stałą rubrykę pisma.

Tuż obok zamierzamy śledzić skrzętnie ruch polski na kresach, z tych stron, w których on działa i rozwija się jawnie, na podstawie ustaw państwowych: a więc w Prusiech Zachodnich, nad dolną Wartą i na Bukowinie. Nadto zwrócimy uwagę na zapomnianą cząstkę ludu polskiego na terytoryum — korony węgierskiej. Skąpemi i ogólnikowemi natomiast będą informacye nasze z kresów wschodnich; gdzie bowiem działać można tylko wbrew ustawom państwowym, stamtąd dostarczanie szczegółowych wiadomości byłoby niedorzecznością, a publikowanie ich stałoby się niejako nieświadomem szpiegostwem z naiwności.

W taki tedy sposób zamierzamy pomagać czytelnikom do znajomości Polski.

Trzecim punktem programu będzie informowanie o naszych stosunkach społecznych. Ignorancya w tej dziedzinie przybiera już zatrważające rozmiary; publiczna dyskusya przechodzi coraz częściej w namiętny ton polemiczny, głównie dlatego, że strony wojujące posiadają zazwyczaj zamało wiadomości rzeczowych. Ponieważ warstwy społeczne są wynikiem dziejowego rozwoju narodu, a zatem ta część programu opartą być musi na poważnych studyach historycznych. Pozwolimy sobie zacytować dla przykładu dwa ciekawe zdarzenia, dotyczące samego tylko ruchu ludowego. Podczas wystawy lwowskiej, jeden z posłów włościańskich powoływał się na „wiece" wieśniacze w pierwotnej Polsce i na cały szereg rzekomo dziejowych faktów; oparł się na — „Starej Baśni" Kraszewskiego, nie przeczuwając, że w tej powieści niema ani ćwierć słówka historycznej prawdy! Niedawno znowu na jednym z wieców ludowych w Galicyi powiedziano, że dawniej w Polsce pan mógł kazać rozpruwać wnętrzności chłopów, żeby sobie w nich zagrzać nogi na polowaniu! Niefortunny mowca był — wstyd powiedzieć — studentem uniwersytetu, to znaczy, członkiem tej młodzieży, która poświęca się nauce pod hasłem badania prawdy, a więc pierwszym jego obowiązkiem: docierać do źródeł prawdy. Ale nie docierał nikt! Była rozprawa sądowa, było o to dużo pisaniny po gazetach, ale nie znalazł się nikt, ktoby zwrócił uwagę, że wypadki takie bywały wprawdzie, ale nie u nas, lecz we Francyi, i są cytowane w książce Taine'a: „Les origines de la France contemporaine". Słyszano, że dzwonią, ale nikt nie wiedział w którym kościele! A ileż to razy takie mylne wiadomości rozchodzą się w szerokich kołach i służą za argumenty w ścieraniu się zdań; ileż razy, zwłaszcza młodsze umysły, formują swe zapatrywania na takich bałamutnych podstawach i wysnuwają z nich wnioski, dające się we znaki życiu publicznemu, bo wiodące do — czy-

nów! Inne byłyby nieraz czyny, gdyby inaczej formowała się myśl, będąca ich pobudką.

Życie nasze społeczne zaczyna niedomagać na zbyteczną centralizacyę. Objaw taki nie jest pożądany w żadnym narodzie, ale w podbitym jest wprost niebezpiecznym. Chorobę tę ma już w zarodku Kongresówka i Wielkopolska, ale w Galicyi znać już dalsze, poważniejsze, jej objawy. Kraków i Lwów panują coraz bardziej nad krajem, prowincya znaczy coraz mniej, żywi się odpadkami od stołu dwu większych miast, a w ruchu cywilizacyjnym dostarcza stosunkowo coraz mniej materyału. Ogarnia ją apatya, która doszła już do tego, że coraz rzadziej ktoś z inteligencyi życzy sobie zamieszkać na prowincyi, z obawy, żeby nie być pochłoniętym przez tę apatyę. Inaczej bywało w poprzedniem pokoleniu, kiedyto prowincya posiadała niejedno wybitne ognisko ruchu umysłowego. Cofnęliśmy się pod tym względem, na wielką szkodę sprawy narodowej. Nam bowiem stokrotnie na tem zależeć powinno, ażeby cały nasz organizm narodowy odżywiany był równomiernie, żeby tętno życia wszędzie było krzepkie i żwawe: w taki tylko sposób możemy się stać niepokonalnymi. Zbytnie skupienie sił w kilku zaledwie miejscach, ułatwia nadzwyczaj wrogie nam działania; w danym razie wystarczyłoby przemóc ruch narodowy w tych punktach, ażeby sprowadzić zastój w całym kraju. Patrzmy na Wielkopolskę: oto tam żydzi przeszedłszy do obozu niemieckiego, wydali miasto Poznań w ręce nieprzyjazne, a skutki tego zaczynają się już objawiać na prowincyi, zamiast, żeby były ograniczone do poznańskich rogatek. Szczęściem, poczyna się tam ruch prowincyonalny, jakkolwiek jeszcze słaby. W Galicyi zaś życie prowincyi coraz słabszem bije tętnem.

„Światło“ tedy zamierza poświęcić baczną uwagę mniejszym miastom i prowincyi wogóle. Byłoby to dla nas wielkim tryumfem, gdyby nasze pismo stało się z czasem, że tak powiemy, organem prowincyi; do tego jednak potrzeba, żeby około Redakcyi skupiła się znaczniejsza ilość ludzi dobrej woli nietylko z samego Krakowa i Lwowa. Może nasza odezwa nie będzie głosem wołającego na puszczy; trudno jednak spodziewać się w tej mierze odrazu wydatniejszych wyników, boć prowincya nasza zasmakowała już w drzemce, oświadcza nieraz jawnie, że jej z tem dobrze, a czasem nawet gotowa myśleć, że do tego jest stworzona i powołana, i że jej z tem do twarzy!



TYP ZE SKALITEGO.

W życiu społecznem narodów chrześcijańskich jest jeden stan, który szczególniej jest ważny, bardzo waży na szali i może zrobić dużo dobrego lub złego, a mianowicie: duchowieństwo. Wpływ tej warstwy był, jest i będzie zawsze olbrzymi; żadne pomruki, a choćby nawet wybryki wściekłości, faktu tego nie zmienią, bo tkwi on zbyt głęboko w samej naturze rzeczy. Ktoby to chciał zmienić, musiałby postarać się o zniesienie chrześcijaństwa; inaczej nieda rady. Wobec niezmiernej doniosłości znaczenia stanu duchownego jedna też jest tylko droga zachowania się w tej sprawie dla społeczeństwa rozumnego i dojrzałego: oto uczynić wszystko, co tylko może dopomódz do tego, ażeby duchowieństwo stało na wysokości swego zadania, żeby było wogóle jak najlepsze. Pod tym względem wiele zawisło od społeczeństwa, boć czyż nie z jego łona wychodzą duchowni?

Ktokolwiek chce badać stosunki społeczne, musi przeto zwrócić uwagę na duchowieństwo. Toteż „Światło“ otwiera na oścież swe łamy wiadomościom o działalności obywatelskiej naszych księży i ma zamiar zajmować się sprawami ich dotyczącemi (z wykluczeniem oczywiście tych, które są ściśle wewnętrznemi kościelnej organizacyi, te bowiem nie mogą należeć przed forum żadnej redakcyi). Ponieważ nie będziemy schlebiać nikomu, a zatem ani dla duchowieństwa pochlebcami się nie staniemy. Krytyka nie może tu uronić nic ze swych praw; rozumie się samo przez się, że krytyka powinna też zato przestrzegać swoich znowu obowiązków, a te są: przyzwoitość i rzeczowość, tj. żeby sprawę mieć na oku, a nie osobę. Taka krytyka pragnie być pomocnicą w wyszukiwaniu środków do celu; pomocą ona być chce, a nie przeszkodą i źródło jej w sercu, nie w żółci. Taka krytyka pamięta, że jest pod publiczną odpowiedzialnością, a głębokie odpowiedzialności poczucie uchroni ją od lekkomyślności.

Skoro o krytyce mowa, podajmy prawidło, według którego zamierzamy w ogóle postępować krytykując: Gdy się sam zabierasz do czynu, namyśl się wprzód dobrze; lecz gdy się zabierzesz do krytyki cudzego czynu, namyśl się dwa razy!

Tych kilka uwag o krytyce tyczy się wszystkich i wszystkiego, co tylko znajdzie się w łamach „Światła". Podajemy je zaś przy tej sposobności, gdy mowa o duchowieństwie, ponieważ — każdy chyba przyzna — ten stan najbardziej spotyka się zamiast krytyki z szykanowaniem i szkalowaniem; tu więc największa zachodzi potrzeba wyjaśnienia.

Kto się dotknie księdza, może łacno potrącić o ołtarz; i nam się to może zdarzać. Uważamy sobie za obowiązek określić tu nasze stanowisko jasno, nie pustym frazesem, nie wygodnem omawianiem, które ma na celu, żeby nic nie powiedzieć i od wszystkiego się wykręcić, lecz tak, żeby nie mogło być żadnych wątpliwości i żadnej dwuznaczności: Redakcya „Światła" jest katolicką, tak, jak katolicyzm pojmować każe rzymski papież i ustanowieni z jego ramienia biskupi.

Rezygnujemy najzupełniej z przyswojonego sobie przez tyle już pism przywileju, ażeby biskupów nauczać katechizmu; w tej rzeczy schodzimy do rzędu nie pouczających, lecz pouczanych.

Wyrazem stosunków społecznych bywają (mniej więcej) obowiązujące ustawy; zmiana stosunków wywołuje zmianę ustawy, chociaż częstokroć bywa też przeciwnie. W każdym razie ten dział pisma byłby niekompletnym, gdybyśmy nie zwracali uwagi na nowe ustawy, a także na same dążności do ich zaprowadzenia. Będzie tedy naszem zadaniem wyjaśniać czytelnikom znaczenie nowych ustaw, nowouchwalonych przez ciała prawodawcze, a także informować o zasobach argumentów „za" i „przeciw", zwolenników i przeciwników ważniejszych projektów do nowych ustaw. Artykuły te pisane będą litylko przedmiotowo, bez jakiejkolwiek cechy stronniczej.

W ten sposób zamierzamy informować czytelników o naszych stosunkach społecznych.

Ponad te trzy punkty programu znajdzie się niejeden artykuł, który do żadnej z tych kategoryj nie da się zaliczyć bezpośrednio. O takich luźnych artykułach to tylko możemy ogólnie powiedzieć, że nie podamy nic takiego, coby było tylko zapychadłem do zapchania miejsca; nic takiego, coby przemijało bez wrażenia i korzyści.

A powieść? Jakżeż może być pismo illustrowane bez powieści?! — Nie; wiemy, że być nie może — a jakżeby też?! Doprawdy rzecz dziwna, jak mogła ludzkość istnieć kilka tysięcy lat bez — wszędobylstwa powieści! Czujemy się dość silni, żeby pod niejednym względem płynąć przeciw prądowi, ale — co do powieści — niesposób; do tego jesteśmy stanowczo za słabi; poddajemy się. Będzie tedy powieść, ale nie w tekście, lecz w osobnym dodatku. Ci z czytelników niniejszego pierwszego i okazowego numeru, którzy zapiszą się na listę prenumeratorów, otrzymają przy następnym numerze podwójny dodatek powieściowy.

Wypada nam jeszcze wytłómaczyć się, jak pojmujemy illustracye. Obrazki dwojaki mogą mieć cel: artystyczny lub informacyjny. Pismo, któreby na prawdę mogło dawać klisze takie i w takiej ilości, ażeby prenumeratorów zaznajamiać systematycznie z rozwojem współczesnych sztuk pięknych plastycznych, musiałoby w naszych warunkach kosztować przynajmniej 30 złr. rocznie. Toteż wszystkie polskie illustracye wyjątkowo tylko dają podobne klisze, a dział illustracyjny zapychają byle czem, mniej lub więcej effektownem. My pod żadnym względem z nikim rywalizować nie zamierzamy, a pismo nasze jest pod każdym względem od wszystkich innych odmienne.

Żałujemy, że nas na razie nie stać na popularyzowanie sztuki, bo nie mamy do tego funduszów. Jeżeli jednak pozyskamy znaczniejszą ilość prenumeratorów, postaramy się o wypełnienie tej luki za pomocą fotografij, które nasi czytelnicy będą mogli nabywać po cenie tak niesłychanie niskiej, jak o tem u nas nikt nawet nie marzył. Będzie to o wiele lepszem od dawania za drogą prenumeratę miernych illustracyj.

Pismo tanie nie może dawać ani nawet średniej wartości reprodukcyj obrazów. Pozostaje mu tedy poprzestać na banalnych illustracyach, przedstawiających byle co, na obrazkach, których treść obojętna dla czytelników. Ale na wydawanie takiego pisma szkoda czasu i atłasu.

Nasze illustracye będą się tyczyć tekstu pisma; niemal wszystkie nasze artykuły będą illustrowane, a ryciny będą służyć do lepszego zrozumienia tekstu. Nakłada to na redakcyę pewne kłopoty i ciężary, ale w tym kierunku nie żal się potrudzić, bo to przedstawia jakąś rzeczywistą wartość.

Stajemy tedy z nowością przed Wami: z pismem illustrowanem, które chce mieć program, wyrzeka się bezbarwności i pragnie w czytelnikach widzieć nietylko prenumeratorów, lecz współobywateli, współpracowników nad cywilizacyjnemi zadaniami społeczeństwa. Czy ta nowość się uda? Nie ulega wątpliwości, że wzbudzi to u wielu osób — kiwanie głowami; to tak wygodnie, a dodaje powagi, bo wszak u nas kiwanie głową uchodzi za dowód, że jej właściciel myśli głęboko i kiwa nią od wysiłku umysłowej pracy! Nie wątpię również, że niejeden uśmiechnie się szyderczo, że próbujemy „u nas coś zrobić", tj. rzeczy uważanej za niewykonalną. Odpowiadam na to poprostu: wszystko

będzie u nas niewykonalnem, póki większość inteligencyi składa się z kiwających głów lub szyderczo uśmiechniętych apatycznych widzów. Zamiast upatrywać w bezczynności dowód wyższego rozumu, a w założeniu rąk widzieć niedorzecznie wskazówkę głębszego umysłu, zamiast udawać mądrość przez brak wiary i zapału — przyłóżmy lepiej rąk do pracy, róbmy i systematycznie i energicznie zarazem, róbmy cierpliwie a zawzięcie, róbmy wszyscy, a po pewnym czasie okaże się niewątpliwie, że wszystko jest u nas — wykonalnem. Nieprzebrane skarby cnót polskiego charakteru i zdolności polskiego umysłu marnieją oto przez to, że ci, którzy mają iść przodem, chodzą bokiem, a powołani do żywego udziału w ruchu narodowym, wolą nad nim filozofować w wygodnem zaciszu.

Pozostaje nam przytoczyć szereg ważniejszych rozpraw i większych artykułów, jakie mamy w tece:

Zmiany w charakterze narodu polskiego. — Cywilizacyjny dorobek polskiego chłopa. — O dawnem poddaństwie ludu polskiego. — Porównanie historyi ludu wiejskiego w Polsce, a za granicą. — O życiu towarzyskiem w sferze mieszczańskiej. — Działalność duchowieństwa w dziejach Polski. — Zarobki rękodzielnicze niegdyś a teraz. — Życie społeczne w różnych wiekach i krajach. — Historya środków wojennych. — O zawodzie wojskowym młodzieży polskiej w czasach dzisiejszych. — Zwycięstwa nauki polskiej. — Próby rehabilitacyi Stanisława Augusta. — Wasserpolnisch! — Literatura górnoślązka. — O księstwie Cieszyńskiem. — Kaszuby. — Pomiędzy Słowianami z nad Newy, a cywilizatorami z nad Sprewy. — Dlaczego państwo rossyjskie jest coraz potężniejszem? — Krzyżacka nieśmiertelność. — Siła a prawo. W jaki sposób siłę poddać prawu? — Klasyfikacya ludzi. — Wiadomość o stylach w budownictwie. — Największe i najmniejsze ilości w przyrodzie. — Geologiczna przeszłość ziemi krakowskiej. — Postępy rolnictwa. — Rośliny pokojowe. — Żywe fotografie i kinematograf. — Nowa procedura cywilna w Austryi. — Przymusowa assekuracya. — Zniesienie notaryatów. — Policya wiejska. — Nieporządki i brudy miast galicyjskich. — Najtańsze oferty przy robotach publicznych. — Urzędowanie na papierze. — Wypoczynek niedzielny.

Nie drukowaliśmy i nie rozsyłali szumnych prospektów. Mniemamy, że w tym programowym artykule nie było frazesów, że niejeden z czytelników zastanowi się nad poruszonemi tu myślami. Szablonowem i banalnem pismo nasze nie będzie; bo też zbieranie prenumeratorów nie jest dla nas celem, ale tylko środkiem do celu [1]).

Niechaj nam nie będzie poczytanem za ujmę, że „Światło" jest zarazem najtańszem z polskich pism obrazkowych, że do utrzymania go trzeba nader licznego zastępu prenumeratorów. Polecamy się ludziom dobrej woli, polecamy się bardzo, bo na pokrycie samych tylko kosztów pisma potrzeba — półtora tysiąca prenumeratorów.

„Światło" wychodzi w dwóch wydaniach. Niniejsze wydanie, krakowskie, przeznaczone jest dla intelligencyi; drugie zaś, przeznaczone dla ludu, wychodzi w Bytomiu na Górnym Slązku jako tygodnik (cena jędnę markę kwartalnie, format nieco mniejszy i gorszy papier, nakład Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G. S. Beuthen O/S).

Z pomocą tych dwóch wydań spodziewamy się osięgnąć łatwiej cel zamierzony: stanowić pomost pomiędzy prądami i warstwami, których rozdział mógłby przyprawić nas o ogólną klęskę narodową; podnosić punkty wspólne programu narodowego i społecznego; zachowywać niezwruszenie świadomość, że rozmaitość środków liczyć się winna — ze wspólnym celem; przekonywać, żeśmy wszyscy jednako odpowiedzialni za przyszłość, w zamian za to, żeśmy jednako obywatelami.

„Światło" ani myśli wysługiwać się któremukolwiek stronnictwu. Ono liczy na to, że w każdem z dzisiejszych stronnictw znajdzie się dosyć ludzi intelligentnych, którzy zdają sobie jasno sprawę z tego, że stronnictwa dziś takie, a jutro inne; ale jakiekolwiek będą w przyszłości, powodzenie ich, możliwość osiągnięcia tego wspólnego celu, o który błagają pokolenia Polaków, zależeć będzie od tego, ile stronnictwa istniejące kiedyś w decydującej chwili dziejowej, znajdą w społeczeństwie — zasobów moralnych i materyalnych, słowem od stopnia cywilizacyi narodu, od ilości znawstwa i zapału.

Nie przeszkadzamy nikomu robić polityki owej, która jest od wyborów do wyborów; niech każdy ma wolność robić tak, jak mu sumienie nakazuje. Nawzajem tuszymy, że nikt nie będzie się na nas gniewać o to, że zabraliśmy się do pracy około podstaw jakiejkolwiek poważnej polityki wogóle, do pracy nad pogłębieniem fundamentów społecznych w narodzie.

Mamy niepłonną nadzieję, że, oprócz socyalistów, nikt inny nie weźmie nam za złe, że pragniemy zbliżać do siebie warstwy narodu; popularyzując wyniki pracy warstw wyższych wśród ludu, nie zapomnimy też o drugiej części zadania, niemniej ważnej, żeby wśród warstw wyższych popularyzować sprawę ludową.

Wspólność tytułu pisma, wspólność redakcyi

[1]) Pierwszy ten numer nie jest też bynajmniej popisowym; owszem, następne będą lepsze (zaraz do drugiego przybędzie winieta) i coraz lepsze, w miarę rozszerzania się pisma. Zamierzamy i pod tym względem być odmienni.

i wspólność niektórych artykułów w obydwóch wydaniach niechaj będzie symbolem tego wspólnego gruntu narodowego, o którym pamiętać warto bodaj bardziej, niż o czemkolwiek innem! I chyba się nie mylimy, że wśród wszystkich stronnictw znajdą się ludzie, radzi z tego, że w tym kierunku działania znalazł się wyręczyciel.

Wy, zajęci polityką codzienną, która polega na określaniu różnic, pozwólcie „Światłu" zająć się spokojnie pielęgnowaniem uczuć i myśli wspólnych. Mniemamy przeto, że wydając „Światło" w dwóch wydaniach, w Krakowie i w Bytomiu, sposobnych jęliśmy się środków.

Uzupełniajmy się, uczmy się wzajemnie od siebie, pomni, żeśmy wszyscy, chłop czy magnat, uczony czy prostaczek, do wspólnego zaprzężeni wozu, a przyszłość naszą wzajemnie sobie możemy osłodzić lub zaprawić piołunem. Żadna moc świata nie zwolni nas od tej wspólności doli i niedoli.

W Krakowie, w grudniu 1896.

Dr. Feliks Koneczny.



GRUPA ŚLĄZAKÓW Z WĘGIER.

Adres Redakcyi: Dr. Feliks Koneczny, Kraków, ulica Wolska 21.

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi wraz z przesyłką pocztową:

kwartalnie: **1 złr. = $1^1/_2$ marki = 3 franki,**
rocznie: **4 złr. = 6 marek = 12 frank.**

Numer pojedynczy kosztuje 25 ct. = 40 fenigów = 80 centimów.

Numer „Światła" będzie mieć przynajmniej 16 stronnic i nadto dodatek powieściowy.

ŚLĄZACY NA WĘGRZECH.

Jestto, niestety, bardzo pospolitą u nas rzeczą, że najważniejsze dzieła i najciekawsze w piśmiennictwie prace, zbywane bywają milczeniem, podczas, gdy o ramotach czyta się nieraz całe szpalty. Będzie zadaniem „Światła“ odznaczać się pod tym względem innem zgoła postępowaniem i nie zaprzątać czytelnikom czasu sprawozdaniami pisywanemi ze względu na osobę autora, na stosunki i stosuneczki; znajdą natomiast czytelnicy nasi wzmiankę o każdej pracy sumiennej, której treść zaciekawić może szersze koła. Będziemy popularyzować wszystko to, co ogół wiedzieć powinien, pozostawiając na uboczu te rzeczy i sprawy, które dotyczą szczuplejszych tylko gron.



CHATA W SKALITEM.

Na początek dajemy wiadomość o odkryciu nowego kąta Polski, dokonanem przez prof. Romana Zawilińskiego.

Jest lud polski na południu Karpat i to nietylko na Spiżu, ale też w powiecie czadczańskim, komitatu trenczyńskiego, w kącie pomiędzy granicą ślązką od północy, a galicyjską od wschodu. Główna wieś nazywa się Skalite (stacya kolejowa za Zwardoniem), koło niej Rakowa, Staszków, Podwysoka, Turzówka, Maków, Wyşoka, Krasno, Oszczadnica. Wieśniacy tej okolicy sami o sobie powiadają: „My Poláki, ino pod Uhry nálezymy“. Nazwiska też mają czysto polskie: Banasik, Bestwina, Burdzik, Bury, Chrobák, Głowiesek, Jargaś, Jaworski, Kacibaba, Karcmarzyk, Kosiak, Kowal, Kurzawa, Łaś, Łasiut, Pawełek, Rokiciak, Sanecki, Spilak, Sabnicki, Tatarka, Urbanek, Wójciniak, Wronka itp. W mowie swej zachowali *ą* i *ę*, twarde *ł* i miękkie *ć, dź, ś, ź;* wymawiając „mazurują“, tj. wygłaszają *s* zamiast *sz*, a *z* zamiast *ż*. Gwara ich psuje się jednak naleciałościami języka słowackiego, co jest całkiem naturalne, skoro Słowakami są otoczeni, z nimi mają stosunki, a z Polakami żadnych. W mieście styka się ten lud z kupcami i z intelligencyą słowacką, i w ten sposób sam coraz więcej nabiera słowaczyzny. Najważniejszą atoli jest ta okoliczność, że duchowieństwo jest słowackie, i tylko z tym językiem spotykają się w kościele i stosunkach z kościołem. Dlatego też przekręcają na słowackie wszystkie wyrażenia

i zwroty, odnoszące się do religii i obrządków kościelnych, bo tak słyszą w kościele. Bywają tacy, którzy potrafią nawet mówić zupełnie dobrze po słowacku i do miejskich osób zawsze w tym języku przemawiają. Dopiero na wezwanie: „Mówcieno po swojemu!“ zaczynają mówić gwarą polską, wtrącając tylko tu i owdzie wyraz słowacki. W innych wsiach, np. we Wysokiej i w Makowie, przez częste obcowanie z sąsiednimi Morawcami, znać wpływy morawskie. Lud ten o Polsce nic a nic nie wie; tyle też tylko styka się z sąsiednią Galicyą, o ile czasem zajrzy na odpust do Milówki. Intelligencya, z którą się spotyka, uważa go za słowacki, a rozbudzony narodowy ruch słowacki sięga już po te polskie osady i zapewne je pochłonie.

Okolica ta jest właściwie dawną częścią Ślązka i tak jest jeszcze oznaczona na mapie z r. 1736, opracowanej przez J. W. Wielanda, a wydanej w Norymberdze. Mamy tedy do czynienia ze Ślązakami. Ubiór też ich podobny jest do ślązkiego, używanego na liniii pogranicznej od Jabłonkowa ku Koniakowu; od słowackiego ubioru natomiast różni się bardzo.

Jest to lud górski; średni poziom doliny wynosi 524 metrów, góry dochodzą do 860 metrów. Ubodzy, jak zwykle górale, mieszkają w lichych chałupach, które pod jednym dachem łączą odrazu stajnię i maleńką stodółkę. Dach przedłużają ze wszystkich stron ku dołowi, aby pod nim gromadzić zboże, siano, drzewo opałowe, jako zapas na zimę, a nawet ustawiają tam pnie z pszczołami. Dach taki nie zdobi wcale chaty, a zaciemnia tak mieszkanie, że do wnętrza ledwie dochodzi mdławe światło, ale cóż poradzić na biedę i przyzwyczajenie. Domy drewniane, pokryte gontem, zwanym tu „sędziołek“, nie mają kominów prawie nigdy. Izba mieszkalna, kwadratowa, ma dwa małe okienka, ku południowi i zachodowi; po prawej stronie od wejścia jest piec piekarski z nalepą, nad nią wisi kocioł przymocowany na łańcuchu u stragarza. Sprzętów niewiele: szerokie łóżko z barłogiem i z bardzo lichą pościelą, kołyska, stół, ława i na tem koniec. — Karczmy, stojące co kilkadziesiąt kroków przy drogach, tłumaczą ubóstwo ludu dostatecznie.

Pożywienie ich nędzne. Na śniadanie jadają kapustę ze ziemniakami i ziemniaki z kwaśnem mlekiem; na obiad to samo i wieczór znowu to samo. Gotują za jednym razem na cały dzień. Chleba całkiem nie pieką; znają tylko chleb kupny. W jesieni pieką ze ziemniaków placki na listkach kapusty. Z żyta, którego sobie czasem kupią, mielą sami mąkę na domowym młynku, potem ją prażą, zalewają wrzącą wodą i z tej gęstej papki robią łyżką t. z. „poncki“, t. j. prażuchy, które jedzą z kwaśnem mlekiem. Mięso jadają tylko wtedy, jeżeli zabiją własnego barana lub wieprza; natenczas pociąwszy mięso na kawałki, dają do beczki, zwanej „gielatką“, solą i zostawiają tak 2—4 tygodni, poczem je gotują na kwasie kapuścianym, albo skisłej maślance. — Nawet na największe święta pieką tylko bogatsi; ale cała ludność siedzi w karczmie przez trzy dni „ostatków“. — Przemysł domowy ogranicza się wyłącznie do wyrobu bielizny i ubioru na własną potrzebę.

Szczególny u nich taniec: Pierwszy tancerz bierze w pół stojącą na boku dziewczynę i staje przed muzyką. Kiedy równocześnie i inni wybrali tancerki i stanęli obok niego, śpiewają na dwa głosy śpiewki, a kiedy muzykant uchwycił już poddaną melodyę, poczynają się kręcić n a m i e j s c u, para przy parze. Z początku jest w tańcu nieco skoku, choć tempo dosyć wolne; muzykanci przyspieszają coraz bardziej takt, a natenczas kroki tańczących są coraz mniejsze, drobniejsze, ale coraz szybsze, aż wpadają w zupełny wir na miejscu, tak, że omal nie upadną z zawrotu głowy. Tancerz obejmuje kibić tancerki tylko prawą ręką, ona zaś opiera na jego ramieniu swą lewą rękę; jego zaś ręka lewa i jej prawa zwisają, a uważają za rzecz nieprzyzwoitą spojenie rąk lub podniesienie ich w górę.

Prof. Romana Zawilińskiego poparła w studyach nad tym ludem krakowska Akademia Umiejętności, dostarczywszy mu dwukrotnie zasiłków z funduszu komisyi antropologiczno-etnograficznej. Sprawozdania dokładne znajdują się w wydawnictwach Akademii p. t. „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej“ tom XVII. (Kraków 1893), tudzież „Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne“ tom I. (Kraków 1896).

Odkrycie to mogłoby mieć praktyczną wartość, g d y b y w Ż y w c u b y ł o p o l s k i e g i m n a z y u m; obecnie synowie tego ludu, ucząc się na księży, stają się Madiarami lub Słowakami i w tym kierunku pociągają potem resztę ludności. Wpływ słowaczyzny tak się wzmaga, że po jakimś czasie mogą zatracić całkiem swoją polską gwarę. Z filologicznych badań, dokonanych przed 20 laty, przez czeskiego uczonego, Szemberę, okazuje się też dowodnie, że od tego czasu język polski cofnął się tam znacznie.



O MYTACH.

Myta są urządzeniem bardzo starem. W XVII. i z początkiem XVIII. wieku głównem źródłem dochodów skarbowych były opłaty, cła i akcyza, którą pobierano najczęściej za pośrednictwem rogatek stawianych u bram miast, na granicach krajów, lub nawet porozrzucanych tu i owdzie po głównych drogach wewnątrz kraju. Były wtedy cła wewnętrzne i opłaty przewozowe. W naszem jednak stuleciu uznano drogi za zakłady publiczne a w zachodnich krajach europejskich zniesiono wszelkie myta drogowe i mostowe. Nawet w krajach niższej kultury, n. p. w Rosyi nie ma już myt, niema ich także w Węgrzech. W Austryi zniesiono ustawą z 26 sierpnia r. 1892 rządowe myta mostowe, pozostawiono jednak nadal myta drogowe i myta przewozowe.

Prócz tego istnieją w Galicyi myta krajowe, powiatowe, gminne, a nawet prywatne.

W sprawie myt drogowych nauka wyrzekła już dawno wyrok potępienia. Powszechnie już uznano, że z dróg korzysta całe społeczeństwo i każdy z jego członków, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio. Z dróg korzysta zarówno producent, jak kupiec, jak i konsument, bez względu czy drogami sam jeździ, czy nie. Miarą korzyści z dróg nie jest zatem każdorazowe bezpośrednie użycie drogi, lecz owe pośrednie korzyści, które dzielą się równomiernie między wszystkich członków społeczeństwa, ponieważ śladem dróg bitych posuwa się wszelki postęp ekonomiczny i intelektualny.

Dla tego to myta stanowią obecnie przestarzały zabytek średniowieczny i noszą cechę nieusprawiedliwionych opłat publicznych. Dzisiejsza nauka twierdzi, że każdy w stosunku do swych dochodów przyczyniać się winien do utrzymania dróg i mostów, choćby z tychże nawet bezpośrednio nie korzystał.

Pomijając jednak teorye naukowe, chcę tylko zastanowić się nad tem ze względu na moralność społeczeństwa i wystąpić przeciw mytom, jako gniazdom lichwy, wyzysku i demoralizacyi.

Obecnie istnieje w kraju 85 myt prywatnych na podstawie dawnych koncesyi rządowych wydawanych bez ograniczenia czasu trwania poboru. Prócz tego w myśl § 6 ustawy drogowej nadano w drodze ustaw krajowych prawo do poboru opłat mytniczych wszystkim powiatom, gdzie tylko droga powiatowa lub gminna żwirowana dłuższą była, niż 8 kilometrów. Każdy powiat, gdy tylko nowych ośm kilometrów drogi wybuduje, natychmiast korzysta z prawa swego i podaje o pozwolenie otworzenia nowej stacyi mytniczej. Mamy w kraju 4837 kilometrów dróg powiatowych i gminnych żwirowanych, a więc licząc jedno myto na 8 kilometrów, wypadnie ich około sześćset. Prócz tego na drogach krajowych jest około 120 stacyj mytniczych, z których dochód w r. 1894-tym wyniósł 225.000 złr. a w r. 1895-tym 228.888 złr. 34 cnt. Nie mam pod ręką cyfr dochodów z myt na drogach powiatowych i gminnych żwirowanych, przypuszczając jednak, że dochody te na jakie takie utrzymanie ich wystarczają, licząc najmniej 100 złr. na utrzymanie kilometra, przyjąć możemy roczny dochód z tych myt na 483.700 złr. Z zasiągniętych jednak przezemnie wiadomości z kilkunastu powiatów zachodniej Galicyi, okazuje się, że myta te tyle nie przynoszą, w większej bowiem połowie powiatów zachodniej Galicyi pokrywają dochody z myt zaledwie połowę lub $^2/_3$ kosztów na utrzymanie dróg. Resztę muszą pokrywać fundusze powiatowe lub też, gdzie dodatki podatkowe nie wielkie i gdzie powiat nie może dawać zasiłków, tam o porządnem utrzymaniu dróg niema mowy. Tam poprzestaje się tylko corocznie na zasypywaniu żwirem dołów na drogach powybijanych.

Wobec tego nie można chyba dochodu z myt powiatowych i gminnych liczyć wyżej, jak 350.000 złr. do 375.500 złr. Ponieważ zaś dochód z myt na drogach krajowych wynosi rocznie przeciętnie 225.000 złr. (według dat podanych przez Wydział krajowy), przeto liczę razem dochód z wszystkich myt drogowych i mostowych w kraju (z wyjątkiem rządowych) na 600.600 złr. rocznie.

Jestem pewny, że myta te przynoszą w zamian milionowe szkody materyalne i nieobliczone moralne straty. Bo trzeba wziąć na uwagę, że dzierżawcami myt są przeważnie najgorszego gatunku żydzi, którzy po wsiach i małych miasteczkach, zwłaszcza w zetknięciu z ludem, są prawdziwemi pijawkami, obdzierającemi chłopa z pieniędzy i uczciwości. Istnieje więc w kraju pod pozorem myt najmniej 600 gniazd lichwy, wyzysku i demoralizacyi.

Pokątne szynki, wiejskie domy rozpusty, pokątne agencye emigracyjne, fabryki fałszywych paszportów, pokątne zakłady zastawnicze i składy skradzionych rzeczy, znajdują przytułek przeważnie po mytach. Wprawdzie takie same nieczyste interesa załatwiają się i po karczmach żydowskich, lecz

na mniejszą skalę i z większą ostrożnością. Karczma znana od dawna i powszechnie jako ognisko demoralizacyi i różnych kłucących się z kodeksem karnym interesów, zbyt jest na oku, zbyt jest pilnowaną, zbyt często odwiedzaną przez żandarmów. Tymczasem domek mytniczy, będący najczęściej na uboczu gdzieś w czystem polu koło drogi lub też w wąwozie, jako miejscu do niedozwolonego objeżdżania myta najtrudniejszem, nie jest tak na oku i nie zwraca tyle uwagi.



„MŁODUSIA“ I „MŁODUCH“ Z ORSZAKIEM „WADZIEBNYCH“ W SKALITEM.

Chłop na wsi, który niemając pieniędzy na wódkę, w tajemnicy przed swą babą wynosi ćwiartkę zboża lub przyodziewę na sprzedaż, dzieci gdy ukradną co rodzicom, by mieć parę centów na tytuń, nie pójdą do karczmy, bo tamby spotkali znajomych, bo tamby ich mógł kto podpatrzeć. Z całym za to spokojem oddają za pół ceny swój towar mytnikowi, gdzie nikogo nie spotkają i gdzie dyskrecyi są pewni.

Mytnik znajduje się przy drodze. W dzień więc targowy koło niego przechodzą i przejeżdżają ludzie,

niosący na targ do miasteczka swe produkta na sprzedaż. Tu dopiero zaczyna się dla mytnika, dla jego żony, synów i córek prawdziwe żniwo. Co mogą wykupić jaj, masła i t. d., wykupują po możliwie najtańczych cenach. Często wydzierają babom przemocą koszyki z jajami [1]). Mytnik bowiem jest zwyczajnie pionkiem w żydowskiej organizacyi handlowej, wykupującej jaja na eksport wagonami do Anglii i robiącej na tem wyborne interesa. Jeszcze zysk przed targiem nie jest taki wielki. Każda bowiem baba, każdy chłop stawia mytnikowi pewien opór, dopóki ma nadzieję produkt swój na targu spieniężyć korzystniej. Prawdziwie świetne interesa zaczynają się dla mytnika dopiero wtedy, gdy ludzie z niesprzedanym na targu towarem wracają do domu. Wtedy każdy chętnie pozbędzie się go za marną cenę i zaczyna się handel zamienny. Chłop, który, zabałamuciwszy się w szynku, ćwiartki owsa nie sprzedał i nie miał sobie za co kupić soli, zostawia tę ćwierć owsa u mytnika w zamian za parę topek warzonki. Wtedy i na opłatę mytniczą przyjmuje mytnik chłopski towar. Garniec owsa przyjmuje chętnie w zamian za 4 centy, które mu się za przejazd należą.



2-gi DRUŻBA, 1-szy DRUŻBA, MŁODUCH, MŁODUSIA, 3-ci DRUŻBA (W SKALITEM).

Często bywa na mycie pokątny szynk, pokątna trafika, gdzie niedorostkom sprzedaje się tytuń za podwójną cenę. Wódki dostanie tu prawie zawsze „z grzeczności za parę jaj".

Mytnicy podejmują się także często dostawy żwiru na budowę i utrzymanie dróg powiatowych i mają ztąd olbrzymie zyski, których żaden rachunek nie może usprawiedliwić. Okoliczni włościanie posiadający sprzężaje są bardzo często dłużnikami mytnika i w procencie od pożyczonej sumy wożą żwir za darmo. W tej formie kwitnie niesłychana lichwa, odrobek bowiem taki przy dostawie żwiru ma dla mytnika wartość często 50 i 60% od kapitału. Czasem przy odbiorze żwiru na drodze powiatowej zdarza się, że Komisya do odbioru wydelegowana nie chce przedsiębiorcy przyjąć kilku lub kilkunastu gromad złożonych z grubego, źle potłuczonego kamienia. Przedsiębiorca mytnik tłómaczy się wtedy z całym cynizmem, że od złego dłużnika musiał w procencie i plewy przyjąć i obiecuje poprzetłukać kamień swoim kosztem.

Często ze zdziwienia wyjść trudno, gdy myto

[1]) Przed kilku laty była podobna sprawa przedmiotem dochodzeń sądowych i rozprawy głównej przed sądem przysięgłych w Tarnowie z powodu wydarzonego przy tej sposobności ciężkiego uszkodzenia ciała.

na drodze mało uczęszczanej, gdzie osadzony przedtem na próbę uczciwy dróżnik wykazał 15 do 20 fl. miesięcznego dochodu, bierze potem w dzierżawę żyd i na licytacyi daje dzierżawy 400 lub 500 złr. rocznie. Jasnem jest wszystkim, że ten żyd musi na tem tracić, musi dopłacać z innych swych dochodów. Żyd jednak płaci i dopłaca chętnie, bo wie, że za takie wyborne siedlisko operacyjne, jak myto, warto drożej zapłacić.

Doprawdy, że drogi nasze żwirowane opłaca się zbyt drogo. Na dosypkę służy tu krew, pot i krzywda ludzka, i jak ś. p. Lam widział skórę z chłopa nad bankiem włościańskim we Lwowie, tak daleko wyraźniej nad każdym domkiem mytniczym powiewa ten sztandar ku uciesze mytników, którzy tuczą się zdzierstwem i krzywdą naszego ludu.

(Dr. Jan Hupka: „Kilka słów w kwestyi reformy galicyjskiej ustawy drogowej“. Kraków 1896).

WIEŚNIACZE WIERSZE.

Pociesz nas Boże

Pociesz nas Boże już wiek płynie drugi,
Jak wroga jarzmo przygniata nas
Krwi wolny naszej spłynęły strugi
Wszystkich krzyże jak gęsty las
Straszny wróg depce okrutną mocą
Ducha chce zabić jak zgnębił kraj
Pociesz nas Boże przybądź z pomocą
Ojczyznę wolność daj nam o daj
Nad całą Polską brzmi bolów jęk
Braci co w strasznych męczarniach giną
Z sybirskich stepów słychać kajdan dźwięk
Pod nahajkami potoki krwi płyną
Lecz chce odzyskać [illegible] [illegible]
Miliony [illegible], to jest polski lud
On ją poddźwignie a ty prawy [illegible]
Bo on jest mężny i wytrwały trud

Wojciech Zawada
Zalesowicz

Gdzię moja ojczyzna?

Kędy Wisła falą płynie,
Co w ludowej pieśni słynie,
Toć zapewne każdy przyzna,
Tu mój kraj, tu ma ojczyzna.

Gdzie spoczywa ród nasz stary,
Który trzeba czcić bez miary,
Bo był mężny, sprawiedliwy,
Tu ojczyzna, kraj poczciwy.

Gdzie skowronek nuci trele,
Jaskółeczka gniazda ściele,
Gdzie krakuski i sukmany,
Tu ojczyzna, kraj kochany.

Tu jest sercu wszystko drogie,
Schludne, czyste, choć ubogie,
Tu żyją bracia, rodzina,
To ojczyzna ma jedyna.

Wojciech Zawada.



Pociesz nas Bożę.

Pociesz nas Boże, już wiek płynie drugi,
Jak wroga jarzmo przygniata nas,
Krwi wolnej naszej spłynęły strugi —
W mogiłach krzyże, jak gęsty las.

Straszny wróg depce, okrutną mocą
Ducha chce zabić, jak zgnębił kraj,
Pociesz nas Boże, przybądź z pomocą,
Ojczyznę, wolność, daj nam, o daj.

Nad całą Polską brzmi bólów jęk
Braci, co w strasznych męczarniach giną,
Z sybirskich stepów słychać kajdan dźwięk,
Pod nahajkami potoki krwi płyną.

Lecz choć zdeptana i rozdarta w ćwierci —
Miliony ramion, to jest: polski lud,
On ją podźwignie z tej pozornej śmierci,
Bo on jest mężny, wytrwały na trud.

Wojciech Zawada.

Powyższe dwa wiersze wyjęte są z listu włościanina w Dąbrowicy, w powiecie Dąbrowskim w Galicyi. Załączamy autograf, na dowód, że pisała je ręka wcale nie biegła w władaniu piórem, a nieobeznana nawet zgoła z pisownią. Przyswojenie sobie treści tak miłej polskiemu sercu, wykazuje, że pod siermięgą biją patryotyczne serca; forma zaś jest wcale udatna. Upraszamy znawców o ocenienie, o ile różne wyrażenia w obydwóch wierszach powstały z rozmaitych reminiscencyj z lektury; pozwalamy sobie tylko zwrócić uwagę na sam fakt przejęcia się przedmiotem patryotycznym. Dla nas sam fakt wielkiego oczytania byłby bardzo pocieszającym, a w odczuciu formy widzimy nowy dowód, że w naszym ludzie drzemie wielki zasób zdolności estetycznych. Traktujemy niniejszy artykuł jako okaz wyższego cywilizacyjnego poziomu wśród ludu; dostarczanie takich okazów z przeróżnych zakresów, będzie stałą rubryką „Światła“; powtarzać będziemy zawsze nasze *ceterum censeo:* Nie lekceważcie ludu naszego, bo to potężny materyał na wielki naród! Nie idźcie przeciw ruchowi ludowemu, lecz obok niego; starajcie się go nie stłumić, lecz podnieść cywilizacyjnie, bo z tego ruchu wyłania się przyszłość, a jaką ona będzie — to od was zależy!

W następnym numerze podamy wiadomość o polskiem Oberammergau — z kilku illustracyami.



NOWE PRZYGODY TWARDOWSKIEGO.

Wiadomo, że koniec onegdajszego żywota mistrza i czarodzieja z Krzemionek pod Krakowem był taki, że go wola Boża zawiesiła pomiędzy niebem a ziemią, wysoko w przestworzu, bardzo wysoko ponad naszym padołem łez, ale też bardzo jeszcze daleko od źródeł bezwzględnej prawdy i nieskazitelnego piękna. Za temi to źródłami usychał on z pragnienia tu na ziemi; w nagrodę za to znalazł się po śmierci bliżej nich, zarazem jednak, pozostając w zawieszeniu przed wrotami niebios, miał karę cierpką za to, że do wzniosłego celu nie zawsze godziwych używał środków. Szturm do nieba przypuszczał we spółce z szatanem; roznamiętniony żądzą odkrycia prawdy zażądał pomocy do jej odkrycia od przeciwnika prawdy; roznamiętniony — zapomniał się. Za zapał swój ocalony był od potępienia; ale za namiętność musiała też być kara, bo ani nawet w najlepszych intencyach nie godzi się posunąć do namiętności. Ona zaślepia na drogę, a przez to psuje sprawę!

Kara polegająca na zawieszeniu pomiędzy niebem a ziemią miała wszelkie cechy prowizoryczności; na zawsze nie mogło tak pozostać. Miało też to stanowić tylko dotkliwe upomnienie dla Twardowskiego, żeby wbił sobie dobrze w pamięć zasadę: *ne miscere sacra prophanis.* Potem miał powrócić na ziemię, do swoich, żeby żyć na nowo; a od tego powtórnego żywota zależeć ma, jaki na niego zapadnie ostateczny wyrok. On jednak o tem nie wiedział, a wracać miał na ziemię dopiero wtenczas, gdyby sam tego zapragnął.

Wola Boża długo trzymała go w przestworzu, ni to człowieka, ni anioła. Nie było mu danem pomagać Batoremu w redagowaniu sprawozdań wojennych z pod Wielkich Łuk i Połocka, ani brać udziału w odsieczy wiedeńskiej; lecz także oszczędził mu miłosierny Pan obrzydzenia saskich czasów, niedoli Rejtana i potem widoku powstania rozpoczętego w 70.000 wojska, które składało broń, wzrósłszy do 100.000. Tak srogo Bóg karać go nie chciał, bo choć ciężko zbłądził, zawiodła go na manowce nie złość, lecz namiętność i płochość, nie brak dobrej woli, lecz brak zastanowienia.

Zawieszony w nijakim żywiole, ni ziemskim, ni niebieskim, tracił Twardowski coraz więcej z dawnej wrażliwości, coraz mniej zdołał zrozumieć z tego, co na ziemi widzi, aż go wreszcie coraz mniej obchodziły echa z nad Wisły i Niemna; zatopiony w ogólno-filozoficznych rozmyślaniach, rzucony w te przestworza bez granic, wobec których nie wiele znaczą czas i miejsce, byłby może zapomniał, że jest Polakiem. Częściej zwracał swój wzrok ku niebu, niż ku ziemi, więcej i coraz więcej myślał o tem,

co jest ostateczne, niż o tem, co wobec wieczności przejściowem tylko być może; wszak nie sądził, żeby miał kiedykolwiek na ziemię powrócić; toteż w końcu przestawał już poznawać, który jest jego język ojczysty wśród dochodzącego go z ziemi szmeru tylu języków.

Aż oto raz się stało, że gdy się wpatrywał zbliska w budowę wszechświata, gdy całem swem jestestwem zatopiony był w obcowaniu z tem, co wieczne i nieograniczone, doszedł go ze skorupy ziemskiej ten głos:

Ja mistrz wyciągam dłonie,
Wyciągam aż w niebiosa, i kładę me dłonie
Na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
To nagłym, to wolnym ruchem,
Kręcę gwiazdy moim duchem.
Milion tonów płynie: w tonów milionie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę,
Rozlewam je w dźwiękach i błyskawic wstęgach.
. . . .
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,
Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.

Taki głos byłby poruszył Twardowskiego, w jakimkolwiek byłby wyrzeczony języku; gdy jednak doszedł go w ojczystej mowie, nie tylko go poruszył, lecz wzruszył, bo uczuł radosną dumę w sercu, że z polskiej piersi takie wytrysło natchnienie. Nietylko poznał w lot, że to jego język, ale na nowo zapałał miłością ku wszystkiemu, co polskie, szanując i wielbiąc tę polskość, że w steku nieszczęść nie przestała być wielką, nie skarlała, lecz stać ją ciągle na to, żeby być czemś w gronie narodów. Toteż gdy potem ten sam głos dał się słyszeć:

Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie!

sam jął powtarzać za nim też od siebie słowa modlitwy:

„Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono“,

sam zapragnął powtórnie żyć na ziemi, żeby znowu być Polakiem.

Długo powtarzał swą prośbę, aż wreszcie wolno mu było spuścić się na dół po jednej z tych pajęczych nici, które niebo łączą z ziemią, do których zerwania wystarcza sekunda, podczas gdy na wysnucie którejkolwiek z nich nieraz życie za krótkie. A jednak jest ich zawsze dosyć znaczny szereg, bo ludzi dobrych jest znacznie więcej, niż ich w najdłuższem życiu poznać zdołamy i nie brak przędzy, z której aniołowie zerwane nici znowu mogą naprawiać.

W dzień wawelskiego pogrzebu Mickiewicza zeszedł Twardowski na nowo do Polski. Trudno mu było z początku znaleść się w warunkach dziwnych dla szlachcica XVI wieku. Były jednak sprawy i okoliczności, które zastał mniej zmienionemi, niż się spodziewał. Sam język zmienił się nie wiele, stosunkowo za mało; znać, że nie przez cały ten czas się rozwijał, że sporo czasu przespał w letargu. Z pisownią tylko wielkie były trudności, tem większe, że w sam raz wielkie do tej sprawy przywiązywano znaczenie i do reform się zabierano; nabiedził się sporo i z *jotą* i z owemi *emi* i *ymi* itp.; aż wreszcie machnął ręką i zdał to na zecera, zastrzegając sobie tylko, żeby sobie nie robił illuzy*i* z illuzy*j*, żeby się czegoś trzymał stale, żeby wśród pisownianych sekt nie dodawał herezy*i* do herezy*j* i przynajmniej liczbę pojedyńczą odróżniał od mnogiej. Zależało mu na tem trochę, został bowiem literatem i z drukarniami powchodził w stosunki. A stało się to tak:

Pokrzepiwszy serce na wielkim wawelskim pogrzebie, nie długo bawił w Krakowie. Kurczyło mu się serce, że na zamku nie można nawet trafić do komnat Zygmunta i Barbary, że gdzie niegdyś tronował wykwit europejskiej cywilizacyi, tam dzisiaj rozlegają się karczemne śpiewki. Miał jednak i drugi powód, żeby puścić się w podróż. Oto została mu tradycya z jego czasów, z Zygmuntowskich czasów, że Polska jest w Europie; śpiew Adama wzbudził w nim przekonanie, że europejską ona być nie przestała; chodziło jednak o to, w jakim stopniu nią jest? Mniemał, że nie można mieć jasnego pojęcia o rzeczach polskich inaczej, jak tylko w związku ze sprawami powszechnemi. Postanowił tedy poznać Europę, co uważał wprost za środek do lepszego oryentowania się w sprawie narodowej.

W Wiedniu poznał muzykę, w Berlinie uczył się nowożytnej wymowy, biorąc lekcye u bardzo wysoko położonej osoby i dowiedział się, na czem polega honor wojskowy; w Paryżu dziwował się, że niema w nim Francyi, we Francyi zaś osłupiał, spostrzegłszy, że gapi się niemo na obcy sobie Paryż i słucha go, jak trusia. W Londynie stwierdził, że nikt Anglikom nic zaszkodzi, póki oni sami sobie radzić umieją, w Madrycie miał rozmaitość, bo dostrzegł rozpanoszenie bezradności. W drodze do Włoch doszła go wiadomość o odkryciu Röntgena. Postanowił odtąd niczemu się już nie dziwić i wszelki wymarzony wynalazek uważać za możliwy, za dający się uskutecznić. A jednak, gdy stanął w Rzymie, a mianowicie w Kwirynale, przecież się musiał dziwić; bo oto z nowszej historyi włoskiej dowiedział się, że można ponosić klęskę po klęsce, przegrywać wojnę za wojną, a jednak rozszerzać granice państwa po każdej wojnie... przegranej. Przyznał jednak Włochom rozum, że utrzymują sekret tego wynalazku. Co za ciekawe miał p e n d a n t

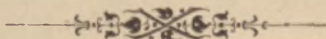
do wspomnień dawnych wojen polskich, kiedy-to po zwycięskich bitwach następowały — niekorzystne pokoje! Pojechał potem do Aten i przypatrzył się, jak Grecy na igrzyskach olimpijskich pobici na każdem polu, pozyskali jednak palmę pierwszeństwa w.... uciekaniu (które, widziane z innej strony, nazywa się biegiem do mety; to zależy, skąd się patrzeć). Zahaczył o Konstantynopol i chciał zbadać Turków; ale znalazł tylko potomków renegatów, bo Turcy dawno wymarli. Stąd zwiedzał Bułgaryę; podziwiał w tem państwie silny rząd, poszanowanie władzy, posłuch dla hasła wydanego z góry, przekonawszy się, że wystarczy rozpisać nowe wybory, żeby olbrzymią większość walnego sejmu zamienić na garstkę kilkunastogłowej opozycyi. Co to za naród! Czegoż nie dokaże rząd, który potrzebuje tylko skinąć, a białe zamieni się na czarne! Przejęty nietylko szacunkiem, ale wręcz zazdrością dla tego narodu, tu dopiero zrozumiał, co to znaczy taki rząd w nowożytnem państwie i postanowił wysnuć z tego teoryę, którą zastosuje potem w historyi polskiej. Jeżeli Europa w ciągu jednego pokolenia nie będzie cała bułgarską, toć chyba... nie siła rządu decyduje o losach państwa. W Serbii studyował kwestyę arystokracyi i demokracyi, bo to w sam raz klasyczna ziemia do tego! Nie trzeba szukać czy tej, czy tamtej, z mozołem i trudem po „butnych“ zamkach i „zacisznych“ chatach; na pastwisku, pod gołem niebem wszędzie je można znaleść, gdyż obie — świnie pasą. Na Wołoszczyźnie znalazł rumuńskie nazwiska na *ski* się kończące; dla odróżnienia się tedy od „krwi łacińskiej“ przezwał się na pobyt w tym kraju Twardosikiuliu, żeby zaznaczyć swe słowiańskie pochodzenie. Na Słowian tyle tu wygadywano, że zaciekawiony, postanowił odbyć kiedyś specyalną podróż po całej Słowiańczyźnie, skoro się tylko poduczy niemczyzny, jako „allgemeine slavische Sprache“.

Z Wołoszy chciał ruszyć do Rosyi, ale nie udało się, bo go zapytano o paszport, żeby sobie nie myślał, że Rosya jest takie byleco, jak inne państwa, lecz żeby mu zwrócić uwagę na samym wstępie, że to inna kultura, z wyższym ceremoniałem. Należało po paszport jechać do Krakowa i wystarać się w tym celu o metrykę. Księgi metrykalne z końca XV wieku! gdzież one?! Nie mógł przedstawić metryki, a brak urzędowego świadectwa urodzenia uważano w c. k. starostwie za niezbity dowód, że on się zgoła nie urodził i tylko tak udaje! Ledwo się uchronił od procesu o rozmyślne wprowadzenie w błąd władzy. Do Rosyi pojechać jednak nie mógł i chyba się tam kiedyś przemyci.

W ciągu całej tej podróży po Europie spotykał się wszędzie z rozpowszechnionem przekonaniem, że żyjemy w wieku żelaznym; on zaś nie mógł się wydziwić brakowi spostrzegawczego zmysłu tych ludzi, gdyż widział jawnie, że jestto właściwie wiek — papierzany. Nawet rządy wszystkie ulegają przecież złudzeniu, że rządzą, gdy dadzą dużo zarobić papierniom i fabrykantom atramentu; przecież „załatwić“ coś, a napisać „kawałek“ stało się synonimami i nikt się tak dalece nie troszczy, co się dzieje po „spisaniu załatwienia“. Obywatele spisawszy petycyę uważają reformę państwa za załatwioną. Wszelkie sprawy publiczne skupiają się w drukarniach gazeciarskich. Wychowanie publiczne odbywa się za pomocą reskryptów, itd., itd., itd. Żelaza jest wprawdzie dużo na kolejach żelaznych, ale o ileż więcej papieru w ich biurach! W hutach żelaznych więcej zapiszą papieru, niż wytopią rudy! A zresztą, czyż godzi się dawać swojemu rodzonemu stuleciu nazwę od — artykułu aptecznego?! Toć-to brak szacunku dla samego siebie. Z tego wszystkiego wysnuł Twardowski wniosek, że wiek XIX jest stanowczo wiekiem papierzanym, a chcąc zastosować się do okoliczności, postanowił robić z papieru przynajmniej użytek zgodny z naturą i został tedy literatem.

Dowiedziawszy się o tem redakcya „Światła“, zaprosiła go na stałego korespondenta. Mistrz zaś narodowy nietylko raczył zgodzić się, żeby „pisywać do gazety“, ale nadto zezwala nawzajem czytelnikom pisywać do siebie, nawet anonimowo (w wieku wolności!), byle franco.

Ponieważ zakaz dzwonienia z całych sił na kolejach nie był jeszcze wydany za czasu jego podróży, więc popsuł sobie trochę nerwy i wysłano go na kuracyę do Zakopanego, gdzie (chcąc się leczyć energicznie) zabrał się do kuracyi gruntownie i zbiegł z zakładu na szczyt Miedzianego, ażeby za jednym zamachem i wyleczyć się i zapoznać z twórczością artystyczną polską i mieć wrażenie Warszawy, do której go nie puszczą, ponieważ mu nie wierzą, że się urodził. Z tego „wirchu“ będzie pierwszy jego list, a jeżeli nie będzie humorystyczny, nie dziwcie się człowiekowi, który znał Polskę w wieku XVI.



NA CZEM POLEGA DUSZENIE SIĘ?

(Odkrycie funkcyi nadnercza).

Organizm ludzki, chociaż od wieków jest przedmiotem ciągłych badań, posiada mimo to kilka narządów, których znaczenia i działania dotychczas dokładnie jeszcze nie znamy. Do takich należało do tego czasu i nadnercze, gdyż dopiero badania prof. N. Cybulskiego i W. Szymonowicza, rzuciły światło na jego działanie.

Nadnerczem *(glandula suprarenalis)* nazywamy twór niewielki, kształtu półksiężycowatego, położony nad każdą nerką i wklęsłą stroną jej dotykający.

Wielkie znaczenie nadnercza dla organizmu, wykazały liczne doświadczenia fizyologów. Zwierzęta bowiem, którym wycięto nadnercza, traciły zdolność poruszania się i ginęły najdalej po 52 godzinach. — Krew w ten sposób zoperowanych zwierząt, jako też wyciąg alkoholowy z ich mięśni, okazały się trującemi; natomiast wodny wyciąg [1]) z nadnercza zdołał operowane zwierzę jakiś czas przy życiu utrzymać.

W celu bliższego zbadania działania nadnercza, przeprowadził dr. Szymonowicz szereg doświadczeń nad zwierzętami, wycinając im nadnercza i badając symptoma po operacyi. Okazało się, że zwierzęta po operacyi popadały w stan apatyi, nie chciały przyjmować pokarmów i traciły władzę w tylnych odnóżach. Badania mikroskopowe wykazały, że ilość ciałek w krwi wzrosła prawie w dwójnasób, ciśnienie zaś krwi w naczyniach spadło bardzo znacznie. Po wstrzyknięciu do naczyń 10% wyciągu wodnego z nadnercza w ilości od 1—4 cm.^{3}, ciśnienie krwi się nagle podnosiło, bicie serca stawało się wolniejszem, oddech natomiast szybszym. Dr. Szymonowicz wstrzykując ten sam wyciąg wodny z nadnercza zwierzętom zupełnie zdrowym, doszedł do tych samych rezultatów. By zbadać, co jest przyczyną podniesienia się ciśnienia krwi, zastrzykiwał wyciąg z nadnercza zwierzętom, którym poprzednio przeciął rdzeń na szyi. W tym wypadku zastrzyknięcie pozostało bez skutku, co dowodzi, że wyciąg ten drażniąc ośrodki nerwów zwężających naczynia, które są położone w rdzeniu przedłużonym, powoduje zwężenie się naczyń, a przez to podnosi się ciśnienie krwi. Nadto wyciąg ten drażni tamże się znajdujące ośrodki nerwowe, hamujące czynność serca, i powoduje zwolnienie akcyi serca, a podobnież drażniąc ośrodek oddechowy, położony także w rdzeniu przedłużonym, sprawia szybszy oddech. Toteż gdy przetniemy rdzeń pacierzowy, zamyka się droga, którą może dojść wpływ wyciągu na rdzeń przedłużony i niema podrażnienia ośrodków nerwowych.

Dalsze badania nad funkcyą nadnercza prowadził prof. dr. Cybulski. Przygotowywał on wyciągi, w których na 1 część nadnercza przypadało 10 części wody destylowanej, 50% gliceryny, alkoholu, 1% kwasu siarkowego i 1% kwasu solnego, a wstrzykując je zwierzętom, otrzymywał zawsze ten sam skutek. Rozczyn wodny wyciągu poddany działaniu soku żołądkowego, działał nieco słabiej, podobnie wyciąg z nadnercza gotowanego. Wyciąg wodny z nadnercza wysuszonego przy temperaturze 110° C., działał słabo, wyciąg zaś alkoholowy z tegoż, wcale nie działał. Dalej wykazał prof. Cybulski, że alkaliczne wyciągi następnie zobojętnione, utracały swe własności. Zastrzyknięcie zwierzęciu 1 cm.^{3} w ten sposób sporządzonego wyciągu z jednej części nadnercza na 10 części płynu, działało tak gwałtownie na ośrodki zwężające naczynia, że naczynia, zwłaszcza u królika, gdzie mają ściany słabe, pękały, powodując śmierć zwierzęcia. Wprowadzając wyciąg znacznie rozcieńczony, można wprowadzić zwierzęciu znacznie więcej, bo aż do 30 cm.^{3} 10% rozczynu, nie sprowadzając mimo to śmierci zwierzęcia. Jeżeli wstrzykujemy zwierzęciu większą ilość rozcieńczonego wyciągu, to nużymy wreszcie ośrodki nerwowe i dalsze wstrzykiwanie pozostaje już bez skutku. Działanie wyciągu z nadnercza trwa bardzo krótko, gdyż jak badania prof. Cybulskiego wykazały, wyciąg zostaje z organizmu przez nerki wydzielony i można go znaleźć w moczu.

Zachodziło w końcu pytanie, czy owa substancya, która znajduje się w wyciągu, istnieje już za życia nadnercza, czy też powstaje dopiero po jego wycięciu? Jest ona już za życia nadnercza, gdyż krew zebrana z żyły z niego wychodzącej, zastrzyknięta zwierzęciu zdrowemu, powoduje te same skutki, co zastrzyknięcie wyciągu samego.

Z doświadczeń tych dochodzi prof. Cybulski

[1]) Wyciąg alkoholowy lub wodny przyrządza się w ten sposób, że mięśnie, względnie nadnercze, sieka się na miazgę, nalewa na to wody lub wyskoku, zostawia na jakiś czas, a następnie odcedza.

do wniosku, że zadaniem nadnercza jest wytwarzanie substancyi, która drażni ustawicznie centra nerwowe, utrzymujące prawidłowy oddech, akcyę serca i ciśnienie krwi. Toteż po wycięciu nadnercza funkcye te ustają, gdyż podrażnienia zewnętrzne nie są wstanie ich utrzymać w stanie prawidłowym. Działanie substancyi wydzielanej przez nadnercze szybko mija, prawdopodobnie wskutek utleniania się tejże substancyi, co zdaje się potwierdzać ten fakt, że silnie utleniający środek, jak nadmanganian potasu, niszczy całkowicie działanie substancyi nadnercza. W czasie gdy zwierzę się dusi, nagromadza się przy braku tlenu w krwi wielka ilość owej substancyi i powoduje zmiany takie same, jakieśmy obserwowali przy zastrzyknięciu zwierzęciu wyciągu z nadnercza. Krew zwierząt uduszonych, zastrzyknięta, ma ten sam skutek, jak wyciąg. Z tych doświadczeń wyprowadza prof. Cybulski wniosek, że objawy towarzyszące duszeniu się, są wynikiem nagromadzenia się we krwi substancyi z nadnercza. Czem jest ta substancya pod względem składu chemicznego, na razie nie da się oznaczyć, z powodu małej ilości, w jakiej można ją otrzymać.

Czy nadnercze działa tylko na te trzy ośrodki nerwowe, czy też jego zakres działania jest szerszy, spodziewa się prof. Cybulski dalszemi badaniami wykazać.



Z NOWYCH KSIĄŻEK.

„W r. 1795 zajmują Prusacy Kraków, a kanonik Sierakowski z urzędu kustosza oprowadzać musi jenerałów pruskich po katedrze wawelskiej, jak ongi Starowolski Karola Gustawa. Podobnej wróżby im nie daje, jak tamten przy grobowcu Łokietka. Pozostaje dotąd tajemnicą, co się w tej właśnie chwili tragicznej stało z koronami i insygniami królewskiemi. W Krakowie mówią, że je zabrano do Berlina. Gość z Berlina dał przeczącą odpowiedź przed kilkunastu laty na to twierdzenie X. Polkowskiemu, a tym gościem był następca tronu, późniejszy cesarz Fryderyk, który na parę lat przed wstąpieniem na tron incognito przybył ze Ślązka do Krakowa, aby zwiedzić jego zabytki. Jest inna legenda miejscowa, że te korony i insygnia przechowują się w bezpiecznem ukryciu".

Ludwik hr. Dębicki: „Trzy pokolenia w Krakowie". Kraków 1896 (na stronnicy 11).

Sprawa zaginienia koron polskich zbadaną jest historycznie drobiazgowo, niemal co do godziny i uznanem było zupełnie, że zabrać je mogli tylko albo Prusacy, albo — samiż ich polscy strażcy. Obecnie odpada pierwsze przypuszczenie, a zatem — legenda ma racyę. Dzięki Bogu, korony polskie nie wpadły w ręce zaborców i można wierzyć, że ci, którzy je „wykradli", starzejąc się powierzali tajemnicę młodszym i że najdroższe nam symbole znajdują się ciągle w dobrem ręku.

Podczas komuny paryskiej r. 1871 zburzono także Tuilleryę. Hrabia Pozzo di Borgo, Korsykanin, „pozbierał z troskliwością i pietyzmem porozwalane kamienie i cegły, i przewiózłszy je na swoją rodzinną Korsykę, zdala od świata odbudował w dawnym blasku... w r. 1891. Nad bramą wchodową widnieje napis, że pałac wzniesiono nie z innych kamieni, tylko z tych, jakie składały się w Paryżu na jego mury. I pobudkę, jaka kierowała wolą odnowiciela, widać tu wypisaną wyraźnie: „aby zachować ojczyźnie korsykańskiej cenne wspomnienie ojczyzny francuskiej". Czy nie prawda, że nie szkoda milionów, gdy się pod wpływem pobudki takiej działa?"

Stanisław Bełza: „Obrazy Korsyki". Warszawa 1896 (na stronnicy 72).

W r. 1846 smutnej nabyli sławy trzej rządowi „działacze", starosta tarnowski Breinl i jego pomocnicy Chomiński i Kamienıobrodzki.

„Wśród ziemian tarnowskich krąży wszakże po dziś dzień podanie, w myśl którego Breinl, towarzyszący w charakterze komisarza cywilnego armii Radeckiego we Włoszech, schwytany w r. 1849 przez legionistów polskich, walczących pod sztandarami Karola Alberta i poznany przez kogoś jako sprawca rzezi tarnowskiej, powieszony został na najbliższem drzewie. Jeżeli prawdziwą jest ta powieść, to godny koniec spotkał tego zbrodniarza. Z pomocników Breinla, Chomiński dosłużył się wpływowego stanowiska dyrektora policyi lwowskiej, które zajmował w czasie dziesięciolecia reakcyjnych rządów Bacha. Gorzej natomiast powiodło się Kamieniobrodzkiemu, który skończył w szpitalu. Agenor Gołuchowski, już jako namiestnik Galicyi, zwiedzając Tarnów, wstąpił do tamtejszego szpitala, gdzie umieszczony Kamieniobrodzki żalił się gorżko z powodu niewdzięczności rządu, który go na starość opuścił. Skarg tych wysłuchał cierpliwie namiestnik i spojrzawszy znacząco na towarzyszących mu przedstawicieli władzy autonomicznej, ozwał się do chorego w te słowa: Jeżeli tu nie otrzymałeś zapłaty za swe czyny, znajdziesz ją niewątpliwie na drugim świecie!"

Stanisław Schnür-Pepłowski: „Krwawa karta. Obrazki z przeszłości Galicyi". Lwów 1896 (na stronnicy 207).

„Jak przed laty siedmiudziesiąt romantyczność wołała: Precz z klasykami! i burzyła wszystko, co oni stawiać chcieli, tak dziś... najmłodsze pokolenie poetów woła, z większym, co prawda, przekąsem, niżeli zapałem: Precz ze zwietrzałym, spróchniałym romantyzmem!... Dziś nie zdaje się jednak, jakobyśmy patrzyli na początki zawodu nowego jakiego Byrona lub Mickiewicza... Łatwo jest, i nieraz nawet słusznie, romantyków ganić; trudniej im dorównać. Powtarzać i naśladować jest źle — dobrze jest tworzyć na własną rękę i inaczej. Tylko chcąc pisać inaczej, trzeba módz pisać równie dobrze... Mówią, że szukają prawdy, a zamiast niej dają tylko powszedniość. Mówią, że pod tą powszedniością kryje się poezya utajona pod symbolicznemi postaciami! Niestety, tego wołania o prawdę i naturę w poezyi, słyszał świat już wiele; a jak przekonał się już dawno, że mylił się genialny Niemiec z XVIII wieku, kiedy gardził wierszem jako nienaturalnym niby i nieprawdziwym, tak samo przekona się świat, że równie (lub grubiej) myli się dzisiejszy Francuz, kiedy pod pokrywką potocznej powszedniości chce przekradać, przemycać poezyę... Dzisiejszy realista powtarza tylko z małemi zmianami hasła i pomyłki realisty dawnego... Długiego życia tym nowym poetycznym formom i rodzajom wróżyć trudno, a złą dla nich wróżbą wydaje się sam zbiorowy tytuł, jaki sobie ci nowi poeci dają. Była jakaś ufność w siebie i śmiałość w tych Niemcach, którzy za hasło brali sobie Sturm und Drang; była zarozumiałość w tych, którzy za swoją cechę podawali Genialität; ale w zarozumiałości może czasem być jakaś siła, a bywa zwykle jakaś chęć, jakieś dążenie. Co za nieufność, co za zniechęcenie smutne i co za rezygnacya cyniczna w tej nazwie, jaką sobie dała najnowsza szkoła Francuzów! Nazwać się od upadku, od dekadencyi? co za pomysł dziwny, co za upokorzenie! Jeżeli myślę, że ja z moim sposobem myślenia i pisania jestem oznaką i przykładem upadku mego społeczeństwa, to przedewszystkiem nie piszę, żeby tych znaków nie mnożyć, tego upadku nie rozszerzać, nie utrwalać! Oni zaś wyznają przed całym światem, stwierdzają urzędownie, że z upadku powstali, upadek oznaczają, upadkiem są. Czynią to tak otwarcie, tak wesoło, i dodajmy, tak bezwstydnie — jakżeby upadek był rzeczą najprostszą w świecie, naturalną, dobrą, nawet chlubną. Co za dziwny sztandar, jakiego nikt jeszcze nigdy nie wznosił! i co za dziwni muszą być ludzie, którzy pod takim sztandarem stoją! I czy można wierzyć, że tryumf i chwałę zdobędzie taki pułk, dla takiego sztandaru?“

St. Tarnowski: „O dramatach Schillera“. Kraków 1896 (na stronnicy 381).

(Dla braku miejsca, musimy tę rubrykę w tym numerze skrócić).



Artykuły „Ślązacy na Węgrzech“ i „Wieśniacze wiersze“ są wspólne obydwom wydaniom „Światła“.

W następnym numerze rozpoczynamy w dodatku druk baśni dramatycznej Z. Sarneckiego: Cud Dziewica; tudzież nowel góralskich młodego, lecz zdolnego autora: Orkana, który sam z ludu tego wyszedłszy, zna go na wskroś. Podamy korespondencyę z Cieszyna, a szereg artykułów objaśniających przeszłość miast polskich rozpoczniemy od Rzeszowa. Z działu przyrodniczego pomieścimy wyjaśnienie „żywych fotografij“ i kinematografu. Informacye o literaturze górno-śląskiej rozpoczniemy od sprawozdań z utworów księży Damrotha i Bącka. Z artykułów obszerniejszych damy początek rzeczy „o dawnem poddaństwie ludu polskiego“. Nadto będzie ciekawa wiadomość o polskiem „Oberammergau“, ciąg dalszy „Nowych przygód Twardowskiego“, tudzież kilka drobniejszych artykułów, z których wymieniamy: „Egzotyczne budowle“, tudzież wiadomość o koronie N. Maryi Panny Częstochowskiej, ofiarowanej jako votum, przez króla Władysława IV. Rycin będzie w drugim numerze kilkanaście.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: dr. Feliks Koneczny. — Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.